

Huchla, Mieczysław

Epizod "Świtu" : przyczynek do dziejów polskiej prasy konspiracyjnej

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 18/2, 115-121

1979

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MIECZYŚLAW HUCHLA
„WILBIK”

EPIZOD „ŚWITU”

Przyczynek do dziejów polskiej prasy konspiracyjnej

Zdumiewające są rozmiary i perypetie tajnej prasy wydawanej w Polsce w latach okupacji hitlerowskiej. Zjawisko to jest tym bardziej godne uwagi, że wybuchało spontanicznie, trwało i rosło mimo niesłychanych represji. Tajna prasa docierała do wszystkich kręgów społecznych. A wymagało to przecież poważnych i trudnych do zdobycia środków technicznych, jak i zespołu redakcyjnego oraz sieci kolportażu.

W „Roczniku Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego” t. XIV, z. 2—3 z 1975 r. prof. dr Gabriel Brzęk, ps. Dewajtis, zamieścił artykuł o działalności „Wedety” w Inspektoracie AK w Rzeszowie. W szczególności omawia w nim dzieje wydawnictwa tajnego czasopisma Inspektoratu AK „Na posterunku”. Znalazła się tam również wzmianka — bardzo lakoniczna — o wydawaniu w Inspektoracie AK drugiego tajnego czasopisma: „Świt”.

W wydany w 1962 r. przez MON pod redakcją L. Dobroszyckiego *Katalogu wydawnictw podziemnych z lat 1939—1945*, który obejmuje 1143 pozycje prasy periodycznej oraz druków ulotnych, odnotowano pod poz. 850 fakt wydawania „Świtu” w 1943 r. Wskazano przy tym na 3 archiwa, w których zachowały się poszczególne jego egzemplarze: Archiwum Miasta Krakowa, Archiwum Biblioteki Jagiellońskiej i Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Chociaż „Świt” wydawany był stosunkowo krótko, wydaje się celowe podać o nim nieco szczegółów. Przemawia za tym zwykła potrzeba dokumentowania wszelkich form ruchu oporu, jak również przypomnienia tych osób, których patriotyzm i poświęcenie pozwoliły na uruchomienie wydawnictwa.

Równolegle z innymi funkcjami w ruchu oporu byłem od początku współpracownikiem „Wedety”, której dowódcą był mój kolega gimnazjalny i przyjaciel — por. Jan Bałda, ps. Piotr. Siedziba „Wedety” znajdowała się w Chmielniku, rodzinnej wsi „Piotra”. Była to wydzielona agenda Inspektoratu ZWZ AK w Rzeszowie, której zadaniem było organizo-

wanie dywersji i sabotażu oraz propagandy. Z działań sabotażowych wspomnieć można m.in. niszczenie dokumentów w urzędach okupanta, niszczenie lub uszkodzenie przesyłek kolejowych przeznaczonych na zaopatrzenie wojskowe, dywersję w oddziałach Baudienstu. Do akcji dywersyjnych należało również rozlepianie ulotek patriotycznych, malowanie hasła antyhitlerowskich, wysyłanie do hitlerowców pism z informacjami o ujęciu ich w ewidencji zbrodniarzy wojennych itp.

Taką typową akcją dywersyjno-propagandową na rozkaz „Wedety” przeprowadziłem w rodzinnym miasteczku — Tyczynie pod Rzeszowem. W jesieni 1942 r., kiedy armia hitlerowska posunęła się daleko w głąb terytorium ZSRR, a na terenach okupowanych wzrastał się terror, nastroje społeczeństwa były pełne przygnębienia. Trzeba więc było dodać wszystkim otuchy jakimś formalnym znakiem. Stało się nim rozpowszechnianie stylizowanego symbolu „PW” — „Polska Walczy”. Przy zapadającym zmierzchu, tuż przed nadejściem godziny policyjnej, podszedłem wraz z moim ojcem Władysławem Huchłą, ps. Jesion, pod ogrodzenie parkowe. Ja szedłem przodem bez żadnych przedmiotów, a kilkadziesiąt metrów za mną ojciec z wiaderkiem po marmoladzie, w którym była czarna, smołowa farba i pędzel. Wypatrzywszy chwilę, gdy nie było nikogo w pobliżu, namalowałem szybko na murze przy bramie parkowej symbol „PW”. Następnie przez potok Hermanówkę, opłotkami poza klasztorem Dominikanek przeskoczyliśmy pod budynek Sądu Grodzkiego, gdzie znów powtórzyłem operację malarską. Wreszcie Podwałem i uliczkami obok targowicy podeszliśmy do rynku pod budynek ratusza, aby i tam umieścić znak „PW”. Nie postrzeżeni, wpadliśmy na uliczkę prowadzącą w kierunku osiedla Pułanki i szczęśliwie wróciliśmy do domu omijając patrole policji i wojska.

Zasadniczą jednak działalnością „Wedety” było wydawanie i kolportaż tajnego pisma „Na posterunku”, początkowo nieregularnie, następnie raz na miesiąc, raz na 2 tygodnie i od 1942 r. już trzy razy w miesiącu. Do 1942 r. współpracowałem z redakcją „Na posterunku” doraźnie. Pod koniec tego roku „Piotr” przekazał mi zamiar Inspektoratu — utworzenie redakcji drugiego czasopisma. Po przemyśleniu zgłosiłem gotowość podjęcia się tego zadania. Wiązało się ono z szeregiem czynności organizacyjnych i technicznych. „Piotr” uprzedził mnie, że nowe wydawnictwo będzie całkowicie odrębne i nie może na żadnym odcinku nakładać się na redakcję „Na posterunku” tak ze względów konspiracyjnych, jak i ze względu na szczupłość wyposażenia technicznego „Wedety”. Praktycznie więc niemal całość przygotowań spadła na mnie. Od „Piotra” dostałem tylko jeden płaski powielacz ręczny.

Przez kilka miesięcy zimowych prowadziłem intensywne przygotowania w trzech kierunkach: zgromadzenia niezbędnych środków technicznych, stworzenia redakcji, zmontowania sieci kolportażu. Szczęśliwym trafem miałem do dyspozycji domek jednorodzinny rodziców oraz lokal

w sąsiednim domku, wybudowanym przez mojego wuja, Antoniego Pękałę. Obydwa domy były położone w sadzie, ok. 1 km od centrum miasteczka, co sprzyjało swobodniejszemu poruszaniu się. Sprawdziliśmy to już wcześniej, organizując właśnie tutaj tajne egzaminy maturalne Państwowej Komisji Egzaminacyjnej „Kuźnica”.

Miałem także maszynę do pisania marki „Erika” z polskim układem czcionek (ze składu J. Łomagi we Lwowie), którą poprzednio kupiłem od sierżanta F. Wilka z Białej. Umiałem wówczas ze średnią wprawą pisać na maszynie. Wykorzystując swoje znajomości na stanowisku kierownika handlowego Spółdzielni Rolniczo-Handlowej w Tyczynie i uzasadniając nabywanie tak „trefnego” towaru potrzebą zaopatrzenia biur Spółdzielni, zgromadziłem niezbędną ilość matryc woskowych do powielania oraz papieru do cyklostylu i farby. Część tych materiałów uzupełniałem ponadto poprzez znajomych z różnych biur i urzędów w Rzeszowie, naturalnie nie zdradzając się z rzeczywistym celem ich wykorzystania.

Jednocześnie kompletowałem skład redakcji i obsługi technicznej. Zachowując dla siebie stanowisko „naczelnego” — w dzisiejszym rozumieniu — zwerbowałem na zastępcę redaktora mojego rówieśnika z kolumbowego rocznika 1920, kolegę z ławy szkolnej i podobnie jak ja studenta Wydziału Prawa — Mieczysława Skotnickiego, ps. Głóg. Solidne przygotowanie humanistyczne oparte na ostatnich maturach typu klasycznego w 1938 r. pozwoliło nam uniknąć poważniejszych gaf w składaniu poszczególnych numerów pisma. W skład redakcji wszedł jeszcze młodszy brat „Głoga” — Jan Skotnicki, ps. Kotwa. Ponieważ nie miał stałego zatrudnienia i dysponował swobodniej czasem, pełnił obok funkcji korektora zarazem funkcje techniczne w powielarni przy maszynopisach.

Czynności techniczne rozdzieliłem głównie pomiędzy Jana Stańka, ps. Lekki, który umiał biegle pisać na maszynie, oraz Aleksandra Datę, ps. Kosa, i Jana Skotnickiego. Częściowo pomagał im również mój brat Lucjan Huchla, ps. Wiąz, który musiał jednak godzić pracę konspiracyjną z pracą zawodową technika mierniczego w odległej o ponad 5 km Boguchwale, dokąd codziennie chodził piechotą.

Sieć kolportażu składała się z trzech skrzynek rozdzielczych oraz ekipy gońców-kolporterów. Dwa podstawowe punkty rozdzielcze utworzyłem w Rzeszowie. Jeden prowadziła Stanisława Płonka-Martynuska, ps. Jaskółka, w swoim sklepie spożywczym w Rynku, obok ratusza. Drugi prowadził Bąk (Tadeusz?), średni syn kierownika małej hurtowni towarów mieszanych przy ul. Kolejowej, zatrudniony u swojego ojca w charakterze ekspedienta. Ojciec, który także był zaangażowany w ruch oporu, miał pewne obawy tak ze względu na chęć ochrony syna, jak i ze względu na wcześniejsze zorganizowanie w hurtowni innego punktu kontaktowego, lecz później, po faktycznym uruchomieniu skrzyńki kolporta-

zowej, nie stawiał już sprzeciwu. Zresztą podobnie i rodzina Martynusków — z pierwszego punktu rozdzielczego — była mocno zaangażowana w ruch oporu, a jeden z jej członków, adwokat, był delegatem Rządu na powiat rzeszowski.

Trzeci punkt rozdzielczy — o mniejszym zasięgu, bo tylko na kierunku południowy: Błażowa, Hyżne, Dynów — utworzyłem w sklepie mojej siostry Adeli Huchli, ps. Agata, w Tyczynie przy ul. Grunwaldzkiej. Budynek ten został częściowo zbombardowany w końcu lipca 1944 r., a w późniejszych latach w ogóle rozebrany. Dzisiaj na tym miejscu stoi nowy blok mieszkalny.

Od dowódcy placówki AK w Tyczynie por. Jana Rabczaka, ps. Dąb, uzyskałem zgodę na wykorzystanie drużyny łączności do funkcji kolporterów. Takie wiązanie kilku funkcji nie było jednak ze względów konspiracyjnych wskazane. Dlatego też praktycznie ograniczyłem się do pełnego i stałego obarczania czynnościami kolporterów tylko Aleksandra Datę (zatrudnionego poza tym w powielarni) oraz kuzyna Franciszka Huchlę, ps. Kwiatek. W późniejszych miesiącach włączyłem do tych czynności jeszcze mojego najmłodszego brata Jerzego Huchlę, ps. Klon, którego początkowo nie zamierzałem angażować z powodu zbyt młodego wieku (15 lat). Kiedy jednak okazało się, że „Klon” z własnej inicjatywy zaczął wykradać Niemcom broń, głównie granaty, można go było uznać za dojrzałego do konspiracji.

Kończąc przygotowania techniczne uzgodniłem z „Piotrem” profil wydawniczy pisma, któremu nadaliśmy tytuł „Świt”. Miał on znaczenie symboliczne. Z jednej strony wskazywał na odwrócenie się losów wojny i wzrastającą nadzieję odzyskania niepodległości, z drugiej zaś podkreślać miał troskę o wpajanie obywatelskiej postawy społeczeństwu deprawowanemu konsekwentnie przez okupanta. Celowi temu służył zapoczątkowany już w pierwszym numerze „Świtu” cykl artykułów poświęconych wychowaniu nowego człowieka.

Zestaw treści gazetki, której rozmiary określiliśmy na sześć stron zwykłego formatu kancelaryjnego (A4), obejmował artykuły problemowe, komunikaty dowództwa Inspektoratu AK w Rzeszowie oraz część informacyjną. Ta ostatnia rozbita była na artykuły ogólniejsze o sytuacji politycznej i sytuacji wojennej na wszystkich frontach oraz na serwis krótkich informacji z nasłuchu radiowego w okresie między kolejnymi numerami gazetki.

Artykuły problemowe otrzymywałem bądź jako gotowe maszynopisy lub rękopisy do bezpośredniego przeniesienia na matryce, bądź jako zestawy do nadania im kształtu artykułu we własnym opracowaniu redakcyjnym. Artykuły problemowe proponowane przez nasz zespół redakcyjny były zazwyczaj konsultowane z dowództwem „Wedety”, aby uniknąć zbędnych powtórzeń w bieżących numerach „Na posterunku”. Część in-

formacyjną gazetki, tj. nieco dłuższe artykuły i krótkie informacje, przygotowywał już wyłącznie własny zespół redakcyjny „Świtu”.

Z nasłuchem radiowym nie mieliśmy większego kłopotu, ponieważ jeszcze w jesieni 1939 r., kiedy okupant zarządził konfiskatę wszystkich odbiorników radiowych, ojciec mój kupił od aplikanta adwokackiego mgra Zdzisława Grzęskiego czterolampowy odbiornik bateryjny marki „Elektrit”. Był to jak na owe czasy dość dobry i, jak się okazało, niezawodny odbiornik z trzema zakresami fal. Przez poprzednie lata korzystaliśmy z niego nieregularnie, natomiast z chwilą podjęcia się organizowania nowej gazetki zaopatrzyłem się w dostateczną ilość baterijek do latarek kieszonkowych, z których montowałem odpowiednią baterię anodową. Za akumulator służyła akumulatorowa latarnia przenośna, naładowywana okresowo przez Stanisława Kowalskiego w młynie jego ojczyma Legięcia w Kielnarowej albo przez mojego kolegę gimnazjalnego Eugeniusza Nalborczyka w warsztacie mechanicznym jego brata w Rzeszowie. Dla zmniejszenia wymiarów zdjąłem całą obudowę aparatu i głośnik. Sam aparat umieściłem w niewielkiej skrzynce drewnianej z opakowania po marmoladzie, a nasłuch prowadziliśmy wyłącznie przez słuchawki.

Korzystaliśmy przede wszystkim z polskiego serwisu informacyjnego nadawanego z Londynu przez rozgłośnię BBC. Ze względu na zagłuszenie trzeba było często kilkakrotnego nasłuchu, aby uzyskać pełną treść audycji. Niektóre informacje konfrontowaliśmy z audycjami rozgłośni niemieckich, a pomagała w tym średnia znajomość języka niemieckiego moja i mojego ojca. Słaba wówczas znajomość języka angielskiego i francuskiego nie pozwoliła mi korzystać w poważniejszym stopniu z innych rozgłośni alianckich.

Z dowództwa „Wedety” otrzymałem matrycę drzeworytu z winiętą tytułową „Świtu” o wymiarach ok. 15 na 6 cm. Winieta była prosta i zawierała tylko nazwę „Świt”, zestawioną kursywą z dość dużych liter. Była to po prostu drewniana pieczęć do odciskania ręcznego na papierze. Używaliśmy do winiety nie czarnej farby drukarskiej, lecz fioletowego tuszu pieczątkarskiego. Dawało to czystą odbitkę, a przy tym także pewien efekt graficzny. Autorami winiety byli współpracownicy „Wedety”: bracia Zbigniew (ps. Drzazga) i Zdzisław (ps. Wigor) Krygowscy — artyści plastycy z Białowej.

Po sprawdzeniu powielacza i zapoznaniu się z techniką jego obsługi przez zespół „Świtu” z pomocą Czesława Nalezińskiego, ps. Arsen, z „Wedety” można było przystąpić do przygotowania pierwszego numeru. Poprzez „Wedetę” ustaliliśmy hasła i terminy kontaktowe dla skrzynek rozdzielczych, z których gońcy mieli odbierać paczki gazet na poszczególne obwody: Rzeszów, Dębicę i Kolbuszową. Gońcy ci byli wyznaczeni przez obwody Inspektoratu AK lub przez „Wedetę”. Czynności redakcji „Świtu” w zakresie kolportażu kończyły się na dostarczeniu do skrzynek rozdzielczych paczek z określoną ilością egzemplarzy gazety i zamieszczony-

mi na każdej paczce symbolami hasłowymi. W sumie paczek tych przygotowywaliśmy ponad dwadzieścia, dzieląc na nie początkowy nakład 500 egzemplarzy, który wzrósł w kolejnych numerach do 1 tysiąca.

Część artykułowa, zajmująca przynajmniej pół numeru, przygotowywana była o jeden do dwóch dni wcześniej przed datą wydania numeru. Trzeba było wypisać dwie matryce woskowane, gdyż z jednej można było z reguły uzyskać nie więcej niż 300 odbitek. Niekiedy matryca zużywała się wcześniej i wypadało doraźnie dopisywać na maszynie dodatkową. Celem maksymalnego wykorzystania papieru i zamieszczenia jak najwięcej treści zapisywało się matrycę bez odstępu. Maszyna do pisania, jaką na początku mieliśmy do dyspozycji (a szczęśliwym trafem jest to ta sama, na której piszę niniejszą relację), odznaczała się ładnym, lecz zarazem dość dużym krojem czcionki, co powodowało zbyt ciasne nachodzenie na siebie kolejnych wierszy.

Część druga numeru, przeznaczona na artykuły i informacje bieżące, była przepisywana na matrycach w późniejszej kolejności. Mniej więcej połowa ostatniej, szóstej strony zawierała wiadomości z najświeższego nasłuchu radiowego, które przeważnie dyktowałem albo sam wypisywałem na gorąco — bezpośrednio do powielania. Powielone libry papieru z kolejnymi stronicami numeru były składane w kompletne egzemplarze i następnie spinane zszywaczem biurowym, a po złamaniu na pół pakowane w zgrabne paczki formatu zeszytowego.

W ten sposób zdołaliśmy wydać, bez zakłóceń w redagowaniu, powielaniu i kolportażu, siedem numerów „Świt”, którego zadaniem stosownie do dyrektyw Inspektoratu AK było:

- a) zwiększyć ogólną ilość tajnej prasy,
- b) podjąć kampanię o wychowanie nowego człowieka i o przeciwdziałanie okupacyjnej demoralizacji,
- c) stanowiąc rezerwową komórkę prasową „Wedety”.

Kiedy wydawnictwo „Świt” weszło na pełne obroty, żandarmeria wpadła na trop redakcji „Na posterunku”. W dniu 30 VI 1943 r. wykryto w Chmielniku koło Rzeszowa powielarnię „Na posterunku”, a dowódca „Wedety” por. „Piotr” poległ w potyczce z patrolem żandarmerii i policji w sąsiedniej wsi Matysówka. Porozumiałem się niezwłocznie z zastępcą „Piotra” por. Ludwikiem Nalezińskim, ps. Ryś, który objął dowództwo „Wedety” i przekazał mi rozkaz przejęcia redakcji i wydawnictwa „Na posterunku”.

W ciągu kilku dni ustaliłem z „Rysiem” plan przetransportowania urządzeń i materiałów redakcji „Na posterunku” z Chmielnika do Tyczyna. Odległość nie była duża, bo szosą wynosiła około 8 km. Operacja była jednak o tyle trudniejsza, że w Tyczynie kwaterowało wojsko niemieckie, a ponadto gestapo wzmogło inwigilację terenu z powodu potyczki z żołnierzami „Wedety” i następnie przeniesienia zwłok „Piotra” z grobu na miejscu, gdzie poległ, na cmentarz w rodzinnym Chmielniku.

Dlatego nie chcieliśmy ryzykować przewozu furmanką konną i zdecydowaliśmy się na przeniesienie całego sprzętu ręcznie nieco okreżną drogą, miedzami i opłotkami z ominięciem dróg jezdnych. Karawana z Chmielnika, ubezpieczona patrolem, przeniosła bagaże na umówione miejsce spotkania w przysiółku Tyczyna — Księży Lasek. Tu bagaże przejęła drużyna „Świtu” i dostarczyła je do swojego miejsca postoju.

W materiałach otrzymaliśmy powieloną już pierwszą kartę (strona tytułowa i druga na odwrocie) oraz wypisane matryce na dwie dalsze strony numeru „Na posterunku” datowanego na dzień 1 VII 1943 r. Dopisaliśmy kolejne 4 strony (pismo miało w tym czasie objętość 8 stron), wypełniając je własnym serwisem informacyjnym. Na stronie tytułowej dopisywaliśmy tylko ręcznie „0” obok jedyinki i cały numer wyszedł z datą 10 VII 1943 r.

W tych warunkach trudno było porywać się na jednoczesne wydawanie dwóch tajnych gazet i musieliśmy zrezygnować z dalszego wydawania „Świtu”. Tym samym przyszło nam, niestety zbyt szybko i w tragicznych okolicznościach wojennych zmagania z okupantem, wypełnić trzecie programowe zadanie „Świtu”. Zespół „Świtu” redagował, powielał i kolportował przez całe drugie półrocze 1943 r. gazetę „Na posterunku” aż do chwili, kiedy „Wedeta” pod dowództwem por. „Rysia” zmontowała nową redakcję i powielarnię, a następnie drukarnię w Rzeszowie, a częściowo z powrotem w Chmielniku. Nasz zespół w Tyczynie nie wznowił już wydawania „Świtu”, a jego żołnierze przeszli do innych służb i funkcji w placówce AK w Tyczynie bądź do „Wedety”.